

NIEZGRANA KLASA

Gdy 4 czerwca 1989 roku odbywały się wybory do Sejmu i Senatu, podział był jasny. Oni (partia wraz z swoimi satelitami) i My, czyli maszerujący do parlamentu równym krokiem obóz „Solidarności”. Ale jedność „drużyny Lecha Wałęsy” była tylko pozorna, a przede wszystkim krótkotrwała. Szybko się skończyła, lecz ronienie nad tym też jest błędem. Problem nie w braku jedności, tylko w nieumiejętności porozumienia.

Jedność jest jednym z ulubionych i najważniejszych mitów, którymi jako Polacy się karmimy. Jesteśmy rozkochani w opowieściach o tym, że w chwilach zagrożenia odsuwamy wszelkie waśnie i wspólnie, ramię w ramię, usuwając na bok urazy, walczymy o ojczyznę. Ma być jak u Broniewskiego: *Są w ojczyźnie rachunki krzywd, / obca dłoń ich też nie przekreśli, / ale krwi nie odmówi nikt: / wysączymy ją z piersi i z pieśni. / Cóż, że nieraz smakował gorzko / na tej ziemi więzienny chleb? / Za tę dłoń podniesioną nad Polską – / kula w łeb! Tyle że to tylko poezja.*

■ CZY MOGŁO BYĆ INACZEJ?

Rzeczywistość jest znacznie bardziej skomplikowana. Żeby nie sięgać w historię zbyt głęboko – choćby do potopu szwedzkiego z 1655 roku, kiedy to po stronie Karola Gustawa powiedzieli się początkowo i Jan Sobieski, i Stefan Czarniecki, a dopiero później porzucili go dla Jana Kazimierza – przywołajmy Konfederację Targowicką z wiosny 1792 roku, gdy cesarzową Katarzynę Wielką o okupację ziem polskich poprosili marszałek konfederacji koronnej Stanisław Szczepny Potocki, hetman wielki koronny Franciszek Ksawery Branicki, hetman polny koronny Seweryn Rzewuski, generał Szymon Kossakowski. Gorącymi zwolennikami Konfederacji byli również prymas Polski, biskupi poznański, chełmski, żmudzki, łucki i wileński.

Niemało Polaków, wcale nie byli to tylko Feliks Dzierżyński i Julian Marchlewski, w 1920

roku opowiedziało się po stronie bolszewików. Dziewiętnaście lat później, już w listopadzie 1939 roku, Waław Krzeptowski, przed wojną działacz Stronnictwa Ludowego i wiceprzewodniczący Związku Górali, złożył hołd gubernatorowi Hansowi Frankowi. I nie był wcale odosobniony. Gdy Niemcy zadeklarowali utworzenie „narodu góralskiego”, swój akces do niego zgłosiła jedna trzecia mieszkańców Podhala – w Zakopanem 23 procent, ale już w Szczawnicy aż 92 procent! Krzeptowski podjął nawet próbę powołania złożonej z mieszkańców Podhala formacji zbrojnej (Goralische Waffen SS), ale tego góralom było już za dużo, inicjatywa zakończyła się klapą. Za to wśród oficerów rozbitego we wrześniu 1939 Wojska Polskiego znalazło się kilku, którzy przeszli na niemiecką stronę. Choćby rotmistrz Przemysław Deżakowski czy Jerzy Wojnowski, dowódca plutonu zgrupowania ZWZ-AK majora Jana Piwnika „Ponurego”, który przekazał Niemcom listę pomagających partyzantom mieszkańców wsi Michniowa, w efekcie czego zamordowano ponad dwieście osób, w tym dzieci. W marcu 1943 roku Władysław Gizbert-Studnicki złożył na ręce gubernatora Warszawy propozycję utworzenia kolaborującego z Niemcami państwa polskiego, które miało wystawić armię walczącą z Sowietami.

Lista tych, którzy zaprzeczali jedności Polaków nawet w najgorszych momentach naszej historii, jest znacznie dłuższa i nie obejmuje tylko zdrajców. Także tych, którzy te momenty próbowali wykorzystywać do realizacji własnych celów. W 1982 roku Kornel Morawiecki dokonał rozłamu w Solidarności, tworząc Solidarność Walczącą i, obiektywnie rzecz ujmując, doprowadził do pogrzebania mitu o zjednoczonym polskim społeczeństwie walczącym z komunistami.

Czy u początków Trzeciej Rzeczypospolitej mogło być inaczej? I ważniejsze pytanie – czy powinno?

■ BUDUJĄCA ZGODA

Jedność, oczywiście deklaratywną, mieliśmy przez cały niemal Peerel, do grudnia 1981 roku. Za Bolesława Bieruta, Władysława Gomułki

oraz Edwarda Gierka wszyscy byliśmy, jak twierdziła oficjalna propaganda, zjednoczeni w budowie socjalizmu u boku Związku Radzieckiego. Nie wychodziła nam co prawda ani jedność, ani socjalizm, ale to miała być jedna z przewag Polski Ludowej nad rozpolitykowaną i podzieloną na dwa obozy Drugą Rzeczpospolitą. Po wprowadzeniu stanu wojennego ekipa Wojciecha Jaruzelskiego nie zapewniała już – trudno było to robić po szesnastomiesięcznym karnawale Solidarności – o jedności narodu, choć uparcie twierdziła, że do niej dążymy. Gdy w końcu wolność wybuchła, tylko naiwni mogli sądzić, że uda się ją budować nadal.

Choć wbrew narzekaniom, przez pierwsze ćwierćwiecze Trzeciej Rzeczypospolitej Polacy wcale nie byli tak bardzo skłócenii, jak wydaje się z dzisiejszej perspektywy. Także jeśli chodzi o rządzące elity. Przez wiele lat główne siły polityczne były w wielu fundamentalnych sprawach wręcz zaskakująco zgodne. Dużo bardziej, niż to miało miejsce w przedwojennej Polsce, gdzie w końcu mieliśmy do czynienia z zamachem stanu w wykonaniu Józefa Piłsudskiego i obaleniem legalnego rządu przy pomocy wojska. W III RP nawet się do tego zagrożenia, na szczęście, nie zbliżyliśmy.

Po obaleniu komunistów, w sprawie pożegnania Peerelu z jego podległością wobec Moskwy, skrajnie etatystyczną filozofią i księżycowym ustrojem gospodarczym, zgodne były wszystkie siły polityczne, nie tylko ekipa solidarnościowa. Opowiedziały się za tym, choć początkowo nie bez pewnych oporów, nawet partie, których korzenie tkwiły w PRL. Po latach wypada docenić, że najpierw SdRP, a później SLD, zaangażowały się w budowę wolnego rynku, poparły reformy Leszka Balcerowicza i inne zmiany zapoczątkowane przez rząd Tadeusza Mazowieckiego. Ale przede wszystkim wypada docenić, że reformatorski pakiet grzebiący peerelowski system powszechnej szczęśliwości zgodnie poparła „nasza klasa”. Nie bez pewnych oporów, ale jednak zgodnie. Jarosław Kaczyński, który przywdział dziś szaty Katona i próbuje pogrzebać fundamenty liberalnej demokracji, do 2015 roku był jej afirmatorem. *Balcerowicz przywrócił w Polsce podstawowe kategorie ekonomiczne oraz opanował hiperinflację. To były podstawy, które pchnęły nas w kierunku gospodarki rynkowej i to jest jego wielkość, wiekopomna zasługa, której nikt mu odebrać nie może. Z dzisiejszej perspektywy wydaje się, że wszystkie te działania były zupełnie oczywiste, a już najbardziej oczywisty był kierunek reform*

*w Polsce. Mam wiele szacunku dla Balcerowicza za dokonanie zdecydowanego chirurgicznego cięcia. Była to wprawdzie bolesna, ale absolutnie niezbędna operacja – powiedział mi w 1998 roku, gdy przeprowadzałem z nim wywiad do książki *Balcerowicz na gorąco*. Czasem Kaczyński próbował być wręcz poganiaczem Balcerowicza. W tym samym wywiadzie krytykował go za nazbyt wolną, jego zdaniem, prywatyzację majątku państwowego. Dodał nawet, że nie sprzeciwiliby się budowie Balcerowiczowi pomników. Dzisiaj z pewnością już by tych słów nie powtórzył, a gdyby pomniki wicepremera w rządzie Tadeusza Mazowieckiego stały, to przemyślałby nad ich ZBURZENIEM.*

■ ELITY BARDZIEJ ZGODNE NIŻ SPOŁECZEŃSTWO

Przez lata główne siły polityczne, wszystkie poza marginesem marginesu, były zgodne również w kwestii polityki zagranicznej. Takie sprawy jak przystąpienie Polski do NATO czy do Unii Europejskiej w głównym politycznym nurcie nie budziły sprzeciwu, choć spory wywoływało tempo tych działań. Wszystkie wywodzące się z Solidarności formacje stanowczo opowiedziały się za tymi, niekwestionowanymi do 2015 roku, aksjomatami polskiej polityki zagranicznej. Przeciwnie wejściu Polski do Unii były jedynie dwa ugrupowania, ale żadne z nich nie miało solidarnościowych korzeni – Samoobrona Andrzeja Leppera oraz Liga Polskich Rodzin. W tej sprawie „nasza klasa” miała nawet jednoznaczne wsparcie władz Kościoła katolickiego, tego samego, który dzisiaj oskarża UE o wszelkie możliwe bezeczeństwa i najchętniej wybudowałby mur na Odrze, a wyjeżdżających za granicę Polaków zaopatrywał, jak niedawno projektował prezydencki minister Krzysztof Szczerski, w „katolickie paszporty”. Po latach to się zmieniło. Poparcie władz Kościoła dla naszej akcesji w Unii przerodziło się w strach przed „zachodnimi nowinkami”, wielokulturowością, zmianą roli kobiety w codziennym życiu, ateizacją i tendencją do coraz wyraźniejszego oddzielania Kościoła od państwa. Strach przed innością, która to „inność” ma być niezgodna z polską tradycją. W latach dziewięćdziesiątych Jarosław Kaczyński twierdził, że Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe „jest najkrótszą drogą do dechrystianizacji Polski”, dzisiaj jego nominat, Mateusz Morawiecki, roi o „rechrystianizacji” krajów Unii Europejskiej.

Akcesja do UE w 2004 roku ujawniła zresztą, że elity polityczne były w tej sprawie znacznie bardziej zjednoczone niż polskie społeczeństwo.

Warto przypomnieć, że w referendum w czerwcu 2003 wzięło udział niewiele ponad 58 procent uprawnionych do głosowania, a blisko jedna czwarta głosujących była przeciwna przystąpieniu Polski do Unii. To spory elektorat i aż dziw, że żadna z dużych sił politycznych nie próbowała tego wówczas wykorzystać. Dzisiaj, gdy partie są znacznie bardziej populistyczne niż w latach dziewięćdziesiątych, z pewnością ktoś wyciągnąłby do nich rękę. Zresztą wyciąga – Prawo i Sprawiedliwość. Ale trochę poniewczasie, bo Polacy do Unii się przekonali. Dzisiaj poparcie dla naszego członkostwa w UE wynosi 70 procent i jest – po Luksemburgu i Bułgarii – najwyższe we wszystkich krajach członkowskich.

Wszystko to, przypomnę, dokonało się w warunkach narastających podziałów. „Nasza klasa” zaczęła się rozchodzić zaledwie kilka miesięcy po czerwcowych wyborach. Zresztą już wcześniej jedność opozycji była dość iluzoryczna. Przeciwna rozmowom Okrągłego Stołu i udziałowi w nie w pełni wolnych wyborach były Konfederacja Polski Niepodległej Leszka Moczulskiego oraz Solidarność Walcząca Kornela Morawieckiego. W rozmowach z komunistami nie wziął udziału Karol Modzelewski, jedna z najważniejszych postaci opozycji demokratycznej, a w wyborach 4 czerwca nie startowali m.in. Tadeusz Mazowiecki i Bronisław Komorowski, związany z opozycją od drugiej połowy lat siedemdziesiątych.

■ WAŁĘSA IDZIE PO SWOJE

Pierwsze wyraźne pęknięcie w „naszej klasie” zaczęło się w lutym 1990 roku, gdy Lech Wałęsa zarzucił rządowi Tadeusza Mazowieckiego zbyt powolną realizację programu Solidarności, w tym zbyt łagodne działania wobec nomenklatury. Ten motyw dominuje zresztą w narracji pravicowych środowisk do dzisiaj i stanowi jedną z głównych osi historycznych podziałów partii wywodzących się z dawnej Solidarności. Przywołuje się przykład NRD, gdzie wolne wybory do parlamentu odbyły się w marcu 1990, a w Czechosłowacji trzy miesiące później, podczas gdy w Polsce pierwsze w pełni wolne wybory parlamentarne miały miejsce w październiku 1991 roku. Polska, gdzie środkowoeuropejska Wiosna Ludów się rozpoczęła, została – jak twierdzi prawica – wyprzedzona przez inne kraje regionu.

W dużym stopniu jest to celny argument. Pytanie tylko, czy ten wyścig do pełnej demokracji był najważniejszy. Czy rzeczywiście warto było być jego liderem? I czy, mimo wszystko,

liderem jednak nie byliśmy? Bo peerelowski ład został zachwiany już przez wprowadzoną w 1988 roku przez rząd Mieczysława Rakowskiego ustawę o wolności gospodarczej i zasadę: „co nie jest zabronione, jest dozwolone”. To było złamanie doktrynalnych zasad sowieckiego modelu ustrojowego. Ostateczny cios temu modelowi zadały ustawy Leszka Balcerowicza. Z Peerelem pożegnaliśmy się więc tak naprawę w grudniu 1989 roku, najwcześniej spośród dawnych państw Układu Warszawskiego. Moskiewska – a więc również peerelowska – doktryna ustrojowa w żadnym razie nie przewidywała istnienia w tej części świata wolnego rynku. Moskiewski komunizm nie byłby w stanie tego znieść.

W pierwszym dniu stycznia 1990 roku, gdy reformy gospodarcze rządu Tadeusza Mazowieckiego weszły w życie, komunizm między Odrą i Bugiem wylądował na śmietniku historii. Wylądował faktycznie, ale nie symbolicznie. Tego zabrakło. Technokratycznie nastawionym elitom rządzącym wówczas Polską wydawało się to wystarczające. Ale wystarczające nie było. W życiu społecznym ważne są również akty symboliczne, „punkt odcięcia”, moment, w którym można otworzyć szampana i świętować. To buduje społeczną świadomość. Polityka rozgrywa się nie tylko w jej warstwie sprawczej, ale także – w ostatnich latach niestety przede wszystkim – w warstwie symbolicznej. Gdyby wówczas, w grudniu 1989 roku, nadano tym decyzjom odpowiednią medialną oprawę, dzisiaj nie dyskutowalibyśmy, kiedy w Polsce skończył się komunizm. Bo on skończył się 31 grudnia 1989 roku, gdy prezydent Wojciech Jaruzelski podpisał pakiet ustaw przygotowanych przez ekspertów zespołu Leszka Balcerowicza. Gdzie była wówczas „nasza klasa”? Zgodnie głosowała za tym pakietem! Wtedy, bo dzisiaj jej pravicowa część, ta najbardziej przywiązana do symbolicznego wymiaru polityki, się tego wstydzi.

■ W ŚWIECIE SYMBOLI

Z perspektywy Warszawy i ciągle w III RP obowiązującego – a wręcz się pogłębiającego – „warszawocentryzmu” wygląda to inaczej, ale prawda jest taka, że największy cios komunistycznej nomenklaturze, o którego brak polska prawica ciągle oskarża rząd Tadeusza Mazowieckiego, został jednak przez ten rząd zadany. Bo, choć nie chce się o tym pamiętać, to pierwsze wolne wybory odbyły się w Polsce już 27 maja 1990 roku, gdy wybieraliśmy samorząd. Stało się to więc tuż po wolnych

wyborach w NRD i jeszcze przed wyborami w Czechosłowacji. Pięć miesięcy wcześniej Piotr Nowina-Konopka, były rzecznik prasowy Lecha Wałęsy, a wówczas sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta, poinformował o tym Wojciecha Jaruzelskiego. *Powiedziałem, że rząd wprowadza reformę samorządową, co oznacza w pełni demokratyczne wybory. To go zmartwiło, bo miał świadomość, że wszyscy ludzie usadowieni w wojewódzkich i gminnych Radach Narodowych to są jego ludzie. I miał świadomość, że dla przytłaczającej większości z nich wolne wybory oznaczają koniec politycznej kariery.* „Panie Ministrze, ale jak ja powiem tym wszystkim ludziom, że idą precz, że cały ten układ się wali?” – relacjonował mi Nowina-Konopka. Wybory samorządowe z maja 1990 roku ostatecznie zatrzasnęły peerełowski rozdział historii Polski.

Wszystko to jednak – wprowadzenie gospodarki wolnorynkowej i wolne wybory do samorządu – nie satysfakcjonowało prawicy. Prawica myśli symbolami, wielokrotnie udawadniała, że są one dla niej ważniejsze niż fakty. Trzeba jednak przyznać, że jest w tym sposobie myślenia bardzo bliska większości Polaków. I prawa część „naszej klasy”, której brakowało „legendy założycielskiej”, bo jej opozycyjne dokonania były dość liche, podchwyciła ten wiatr w swoje żagle. Obiektywnie, aby istnieć, musiała to zrobić. Cóż innego jej pozostawało wobec mizerii dokonania opozycyjnych i późniejszych, dotyczących przechodzenia od komunizmu do Polski wolnorynkowej? Przecież wszystkie główne reformy zostały dokonane przez ludzi należących do obozu określanego w latach dziewięćdziesiątych pejoratywnym mianem „katolewicy”, a dzisiaj nazywanych liberałami. W tej sytuacji jedynym wyjściem dla prawicy było pójście w kierunku populizmu. Wtedy jeszcze nie tyle gospodarczego, ile politycznego – głoszenie tez o marginalizacji Polski w Europie, wszechobecnej agenturze, chodzeniu „na pasku Niemiec”, lekceważeniu narodowego interesu. Ale te określenia mieściły się jeszcze w ramach wyobraźnalnej walki o władzę.

■ SPOŁECZNE WYRZUTY SUMIENIA

Przekroczenie Rubikonu stało się opublikowanie „listy Macierewicza”, czyli zakwestionowanie bohaterstwa i poświęcenia ludzi, którzy sprzeciwiali się reżimowi komunistycznemu. Wbrew dzisiejszej narracji prawicy, Polacy wcale masowo nie sprzeciwiali się komunizmowi, nie walczyli z nim od kołyski. Dla sporej części społeczeństwa komunizm był

trampoliną do społecznego awansu. Dobrze obrazują to przykłady z lat siedemdziesiątych, gdy dzięki zachodnim kredytom i sprzyjającej sytuacji gospodarczej na świecie „Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatnio”.

Szybko się to oczywiście zmieniło, w księżycowej socjalistycznej gospodarce musiało się zmienić, a mimo to niewielu Polaków związało się z opozycją. Powiedzmy sobie szczerze, nawet w latach osiemdziesiątych, gdy system całkowicie się zdegenerował i trzymał niemal wyłącznie na wojskowo-milicyjnych bagnetach, opozycja nie była zbyt liczna. W 1989 roku, gdy okazało się, że racja była po stronie tych nielicznych, którzy mieli dość odwagi, aby nie tylko nosić w klapie marynarki oporniki, biadolić i o 19.30 wychodzić na spacer zamiast wysłuchiwać Urbanowskiej propagandy, stali się oni wyrzutem sumienia. A człowiek nie lubi wyrzutów sumienia, stara się ich pozbyć, a choćby sflamsić. Wystarczy wspomnieć początek lat dziewięćdziesiątych, gdy pogardliwie mówiono o „ludziach ze styropianu”, narzekając, że obejmują oni wszystkie stanowiska, „kosząc” partyjnych, a choćby tylko biernych.

Publikacja „listy Macierewicza” idealnie wpiływa się w te nastroje. Oto ci bierni, potulni, dyskretni, ale jednak korzystający z systemu komunistycznego, poczuli, że niedawni bohaterowie wcale nie są ze spiżu. Że wielu z nich – może większość, a może nawet wszyscy – coś tam podpisało, z kimś tam rozmawiało, z czegoś się funkcjonariuszom Służby Bezpieczeństwa spowiadało. A ja? To prawda, nie drukowałem, nie roznosiłem ulotek, nie uczestniczyłem w demonstracjach z okazji 31 sierpnia lub 13 grudnia. Owszem, 1 maja defilowałem (kazali, więc musiałem) i popijałem kielbaski na partyjnym wiecu piwem, ale z esbekami nie gadałem, niczego nie podpisywałem, na nikogo nie kablowałem! Więc i ja jestem bohaterem, może nawet większym niż wszyscy oni. Gdy więc dzisiaj politycy Platformy Obywatelskiej podkreślają zaangażowanie prokuratora Stanisława Piotrowicza w zwalczanie podkarpackiej opozycji lub słynne przespanie wprowadzenia stanu wojennego przez Jarosława Kaczyńskiego, to większość Polaków nie widzi w tym niczego nagannego.

To oni są im bliżsi niż wiecznie siedzący w więzieniu Modzelewski, Kuroń czy Michnik. Bo większość 13 grudnia 1981 roku przespała albo wspierała jako funkcjonowanie komunistycznego państwa, choćby pośrednio. Zyciorysy Kaczyńskiego i Piotrowicza, Kazimierza Kujdy i „pani Basi” (współpracowniczki generała

Janiszewskiego, „najwierniejszego z wiernych” dyktatora w ciemnych okularach) świetnie leczą polskie kompleksy.

■ ZAPISAĆ SIĘ W HISTORII ŚWIATA

Noc z 4 na 5 czerwca 1992 położyła podwaliny pod ostateczne już rozejście się „naszej klasy”. To była bomba z opóźnionym zapłonem, która musiała w końcu wybuchnąć. Nie sposób było liczyć, że ludzie, dla których walka z komuną była najważniejszym życiowym doświadczeniem, oskarżenie o współpracę z SB zignorują lub wybaczą. Jest wielką zasługą tych ludzi, że jeszcze przez kilka lat po tamtej nocy czerwcowej umieli ze sobą współpracować. Coraz gorzej, coraz słabiej, z coraz większą nieufnością, ale jednak. Wspomnienie wspólnych doświadczeń, a z pewnością również poczucie odpowiedzialności za dokończenie „polskiej rewolucji”, były jeszcze na tyle silne, że potrafili przeprowadzić cały szereg bardzo istotnych zmian w funkcjonowaniu państwa. Przykładem był rząd Jerzego Buzka, stworzony z ugrupowań tak różnych, jak Akcja Wyborcza Solidarność i Unia Wolności, choć wyrosłych z tego samego pnia. Ale poziom nieufności rósł. Ekspłodował w kwietniu 2010 roku.

Czy pragmatyzm obozu liberalnego mógł długo współpracować z przywiązaniem do symboli ówczesnej prawicy, narastającą niechęcią między głównymi aktorami sceny politycznej, a wreszcie naturalnym podziałem ideologicznym? W idealnym świecie tak. W świecie polityki, w którym istotną rolę odgrywają osobiste ambicje – nie.

A ładunek tych ambicji był ogromny. Nic zresztą dziwnego, bo chwila była wyjątkowa. Oto po latach biedowania, któremu towarzyszył strach przed aresztowaniem, a czasem również śmiercią, po latach toczenia jałowych często dyskusji, bez poczucia sprawstwa, co dla ludzi zajmujących się polityką zawsze jest zabójcze, „nasza klasa” wkroczyła na salony władzy. Do tego wkroczyła w momencie wyjątkowym – Polska miała szansę wyjść z komunizmu, co nigdy w historii jeszcze nie miało miejsca. A ambicją polityków jest przecież zapisanie się w historii. W dodatku ten moment oznaczał możliwość zapisania się nie tylko w historii Polski, ale w historii świata. Któż byłby więc wolny od takich ambicji, kto potrafiłby się ich wyrzec?

Te ambicje ujawniły się w całej krasie już na samym początku, 24 czerwca 1990 roku, podczas posiedzenia Komitetu Obywatelskiego. Było to już po publicznej krytyce rządu Mazowieckiego

przez Lecha Wałęsę i rewanżu w postaci nazwania przewodniczącego Solidarności przez Małgorzatę Niezabitowską, rzecznikę rządu, „przyspieszaczem z siekierą”. Temperatura posiedzenia Komitetu Obywatelskiego była bardzo wysoka, zarzuty niesprawiedliwe, a słowa ciężkie i demagogiczne.

■ WIRTUOZI NIE LUBIĄ GRAĆ W PODRZĘDNYCH SALKACH

Wałęsa nie chciał się już godzić na siedzenie w „gdańskim Sulejówku”. Przez całe lata osiemdziesiąte był główną postacią opozycji, miał Nagrodę Nobla, jego zdjęcia zdobiły okładki największych gazet na świecie, o spotkanie z nim zabiegali najważniejsi politycy. Teraz, gdy Polska wywalczyła sobie wolność, miał poczucie, że został zmarginalizowany. To tak, jakby – przy wszystkich różnicach – w 1918 roku próbować odesłać do Sulejówka Józefa Piłsudskiego. Było katastrofalnym błędem rządzących w Warszawie, że odsunęli Wałęsę na boczny tor. To nie mogło się dobrze skończyć. Tym bardziej że w otoczeniu Lecha Wałęsy dominowali ludzie o ogromnych ambicjach, wśród nich bracia Kaczyńscy, zwłaszcza Jarosław. Po sukcesie, którym było „odrabianie” dwóch partii satelickich od PZPR, czego skutkiem było powołanie rządu Mazowieckiego, Kaczyński musiał żyć w przekonaniu, że jest politycznym wirtuozem. A wirtuози nie lubią grać w podrzędnych salkach, marzy im się główna scena La Scali.

Ambicje buzuwały oczywiście również po drugiej stronie. Ekipa Mazowieckiego była świadoma swojej historycznej roli i przekonana, że wydobywa Polskę z cywilizacyjnej zapaści najlepszymi dostępnymi środkami, podczas gdy przez przeciwników była oskarżana o zbyt wolne tempo zmian, sprzyjanie nomenklaturze, sojusz z komunistami, zapaść gospodarczą, która była przecież efektem blisko półwiecznych rządów komunistów. Ale wtedy, na początku lat dziewięćdziesiątych, nikt już nie chciał pamiętać, że państwo, które zostawił Wojciech Jaruzelski, było bankrutem. Przyczyną niepowodzenia, jak twierdzili adwersarze rządu, stały się: tzw. popiwek, brak rozprawy z nomenklaturą, afery alkoholowa i zgoda na otwarcie sieci kantorów przez Aleksandra Gawronika, Art B... Bzdura kompletna, mieszanie skutków z przyczynami, ale dobrze trafiające do coraz bardziej rozczarowanego społeczeństwa. Bo ono oczekiwało cudów – tu i teraz. Zławsza teraz.

Czy te idiotyczne oskarżenia mogły przez ekipę Mazowieckiego i później Jana Krzysztofa

Bieleckiego pozostać niezauważone lub zlekceważone? Mogli przejść nad nimi do porządku dziennego? Tak – jeśli były wypowiedziane przez ludzi nie z „naszej klasy”. Nie – jeśli te oskarżenia rzucały osoby z ich środowiska. Powstał kolejny rów, jeszcze głębszy, dzielący „naszą klasę”. Coraz bardziej widoczny podział między grupą pracowitych, pilnie odrabiających kolejną lekcję przymusów a grupą pewnych siebie krzykaczy, czasem uroczych w swoim lekceważeniu zasad i przekonaniu, że droga na skrót jest zawsze szybsza, efektywniejsza, lepsza. W każdej klasie jest taka grupa besserwisserów przekonanych, że na wszystkim znają się najlepiej, że wszystko najlepiej wiedzą. Mam wrażenie, że to oni dzisiaj zaludniają polską scenę polityczną, kiedyś byli tylko jej częścią.

■ ZGODA NIE ZAWSZE BUDUJE?

Dominujący wówczas w polityce obóz Tadeusza Mazowieckiego popełnił na początku lat dziewięćdziesiątych masę błędów. Źle ocenił przede wszystkim Związek Radziecki, który traktował jako realną siłę polityczną, tymczasem na przełomie lat 1990/1991 nie był on już nawet kolosem na glinianych nogach. Dogorywał. Potwierdził to jednak dopiero kabaretowy pucz Janajewa w sierpniu 1991. Wcześniej nikt się nie spodziewał, że niedawne atomowe mocarstwo, które przez półwiecze trzymało w żelaznym uścisku społeczeństwa Europy Środkowej i z powodzeniem konkurowało ze Stanami Zjednoczonymi, jest niebawem liche. Przypomnijmy – na terenie Polski stacjonowało wówczas 300 tysięcy czerwonooarmistów wyposażonych w najnowocześniejszy sprzęt. Mogli w każdej chwili podjąć próbę odwrócenia biegu historii. Z perspektywy czasu wiemy, że nie byli już do tego zdolni, ale w ówczesnych gabinetach politycznych tej wiedzy nie miano, a wezwania do wycofania sowieckich żołnierzy z Polski mogły się wydawać politycznym awanturnictwem. Co więcej – były wtedy politycznym awanturnictwem.

Wróć do pytania z początku tego tekstu – czy gdyby w Polsce w latach 1989-2015 panowała pełna zgoda między różnymi siłami politycznymi, moglibyśmy osiągnąć więcej? Odpowiedź wydaje mi się oczywista, choć samo założenie jest całkowicie odrealnione. Bo taka zgoda była niemożliwa – choćby tylko z powodu różnic ideologicznych i osobistych ambicji. Ale załóżmy na chwilę, że jednak jakimś zrządzeniem losu tych różnic i ambicji udałoby się uniknąć. Polska byłaby jednym wielkim Frontem Jedności

Narodu – bez konkurencji między różnymi siłami politycznymi. Konkurencja jest zbawienna nie tylko w gospodarce, także w polityce. Bez niej nie przyjęto by nas ani do NATO, ani do Unii Europejskiej. Żylibyśmy w szutczym świecie PRL-bis, z wszystkimi jego ułomnościami.

I jeszcze jedno – gdyby nie podziały z początku lat dziewięćdziesiątych, doczekalibyśmy rewolucji ostrzejszej niż wojna domowa, jaka trwa obecnie w Wenezueli. Tłamszone przez lata rewolucje zawsze wybuchają ze zdwojoną siłą. Będę się więc upierał, że klótnia zapoczątkowana w czerwcu 1989 była ożywcza i korzystna. A że nie umiemy się „różnić pięknie”? Nie pierwszy raz w naszej historii.

Co nie znaczy, że podziały musiały być tak mocne, jak te, z którymi mamy do czynienia obecnie. Poziom emocji w polskiej polityce po katastrofie smoleńskiej jest już całkowicie niekontrolowalny i co gorsza – druzgocący. „Klasa”, która wydobyla Polskę z cywilizacyjnej zapaści Peerelu, teraz może ją na powrót pogрузić w otchłani. Strategia polityczna, którą Jarosław Kaczyński podjął w 2010 roku, oskarżenie Donalda Tuska i Platformy Obywatelskiej o dokonanie – wspólnie z Władimirem Putinem – zamachu na prezydenta Rzeczypospolitej, oznaczała wykluczenie tej partii ze społeczeństwa. To nie jest już spór polityczny, to demolowanie fundamentów państwa.

■ CELEM JEST JUŻ TYLKO WŁADZA

W grudniu 2005 roku, gdy Aleksander Kwaśniewski opuszczał po dziesięciu latach pałac prezydencki, spotkał się ze swoim świeżo wybranym następcą Lechem Kaczyńskim. Usłyszał od niego wówczas, że wszystko, co było najważniejsze dla Polski po 1989 roku – wejście do NATO i Unii Europejskiej – zostało już załatwione. Prezydent elekt zastanawiał się, czym w tej sytuacji będzie się zajmował.

Było w tych słowach sporo prawdy. Wydawało się, że „historia się skończyła”, bo fundamentalne dla Polski kwestie zostały rozwiązane. Ale gdy to się stało, w polityce zaczęły dominować osobiste ambicje. Nie było już wspólnego celu, związanych z nim wyzwań i konieczności zawierania kompromisów. A gdy tego nie ma, celem staje się już tylko władza. Więc gdy znalazł się pretekst – lotniczy wypadek w Smoleńsku – nastąpiły ruchy tektoniczne i wszystkie rowy wykopywane po 4 czerwca 1989 pogłębiły się tak bardzo, że dzisiaj trudno już nawet sobie wyobrazić, że kiedyś zostaną zasypane.

Piotr Gajdziński